PRZODUJĄCA KOPALNIA

● Jedną z najstarszych w Polsce jest kopalnia „Prezydent" znajdująca się na terenie Chorzowa. Jej powstanie datuje się z okresu, w którym rozpoczynano na Górnym Śląsku regularną eksploatację węgla kamiennego. Pierwszą jej załogę stanowiło 10 robotników, którzy w styczniu 1791 roku wykopali dwa szyby na głębokości 11 metrów. W tym roku wydobyto 1849 ton węgla, a w rok później 3647 ton.

Wydobywanie odbywało się wówczas prymitywnymi metodami. Górnicy schodzili pod ziemię po drabinach. Liczne były pożary podziemne, powodowane samozapalaniem się drobnego węgla.

W latach 1819—1822 zlikwidowano w kopalni podziemny transport konny, zastępując go pochylniami z platformami staczającymi się pod wpływem własnego ciężaru. Wyciągano urobek na powierzchnię przez szyby, w których siłą napędową był konny kierat.

Tak wyglądały początki kopalni, od 1800 roku noszącej nazwę „Król". W latach międzywojennych wybudowano m. in. żelbetonowy szyb, który był wówczas nowością i do dziś stanowi charakterystyczny element kopalni.

Dziś kopalnia „Prezydent" zatrudnia ponad 3200 pracowników i należy do kopalń przodujących w polskim górnictwie. Wydobywa się w niej wysokiej jakości węgiel energetyczny, w 60 proc. eksportowany za granicę.

Niech żyje nam górniczy stan!

Uczniowie Technikum Górniczego zaznajamiają się z techniką wiercenia otworów strzałowych.

Foto CAF

świat MŁODYCH

GAZETA HARCERSKA

Nr 96 (1670) Warszawa, piątek, 1 grudnia 1967 r. Cena 50 gr

PISARZ GÓRNICZEGO ŚLĄSKA

● Miał zaledwie kilka lat, kiedy pewnego dnia dowiedział się, że jego ojciec zginął w wielkiej katastrofie w kopalni. Kilkuosobowa rodzina została sama. Po niedługim czasie mała górnicza wioska Karwina przeżywa drugą katastrofę. Znów ginie wielu górników. Mając czternaście lat młody chłopak — Gustlik Morcinek — rozpoczyna pracę w kopalni. Pracuje tam trzy lata. Lubi książki. Górnicy, z którymi pracuje, widzą, jak często zabiera ze sobą „na dół" coś do czytania. Postanawiają mu pomóc. Stawiają sprawę jasno: „Słuchaj, jesteśmy kolegami twego ojca; on zginął — my zostaliśmy, na nas też spoczywa obowiązek wykształcenia ciebie. Będziemy się wszyscy składali po kilka groszy, a ty za te pieniądze pójdziesz do szkoły. Świadectwa będziesz pokazywał wszystkim, jak tu stoimy".

O tym jak z Gustlika wyrósł znany pisarz Gustaw Morcinek i jak spłacił swój dług górnikom, czytajcie na str. 2.

W KLUBIE NASTOLATKÓW

„DŻENTELMENI" — TO O WAS!

JESTEM uczennicą VIII klasy. Na przerwie wywiązała się ciekawa dyskusja. W naszej klasie zdarzył się nieprzyjemny wypadek. Magda dostała od Andrzeja pięścią w twarz. Twarz miała bardzo spuchniętą. Po kilku dniach wróciła do szkoły.

Dla mnie chłopiec, który uderzył dziewczynę w twarz, jest bez wartości. Koleżanki zaś twierdzą, że nie mam racji, a koledzy stoją za Andrzejem, mówiąc, że dobrze zrobił. Jestem sama przeciw nim. Jednak chciałabym przekonać ich o błędzie, jaki popełniają, ale nie wiem, jak to zrobić. Będąc jedną przeciw wszystkim — nie dam rady. A Andrzej znów będzie się czuł w klasie jak książę i uderzenie dziewczyny w twarz będzie uważał za normalne. (rj)

MAJKA
z Warszawy

CHCIAŁABYM poruszyć dzisiaj, jakże smutny, ale prawdziwy i stale aktualny temat: zachowanie chłopców. Jestem uczennicą VIII klasy i myślę, że w tej klasie chłopcy powinni się dobrze zachowywać, a jednak, tak nie jest. Niektórzy chłopcy są na tyle niewychowani, że biją dziewczynki, kopią. Otóż gdy raz przechodziłam koło jednego z chłopców, ten nic nie mówiąc kopnął mnie. Inne dziewczynki są tak samo bite i kopane. Czyż ci „dżentelmeni" myślą, że tym nas przekonają do siebie? Chłopcy w dodatku bardzo brzydko się wyrażają, ja po prostu nie mogę przebywać już w tej klasie.

Proszę wydrukujcie ten list, może „dżentelmeni" przeczytają i zawstydzą się, może zmienią swe postępowanie? To ostatnia „deska ratunku". (rj)

X Z PIŁAWY

DZIEWCZĘTA O CHŁOPCACH

JESTEM na rynku w Skoczowie. Przyjechałem autobusem z odległego o ponad dwadzieścia kilometrów Bielska. Stąd już tylko kilkanaście kilometrów do Cieszyna, do czeskiej granicy. Niewysokie wzniesienia Beskidów otaczają siedemsetletnie miasto ze wszystkich stron. Z planu miasta dowiaduję się, że domek — muzeum pisarza — znajduje się na ulicy Leśnej. Droga biegnie nad Wisłą, zostawia w tyle dworzec kolejowy, wysokie budynki mieszkalne. Pytam jakąś kobietę o ulicę Leśną i dom Morcinka.

Rynek w Skoczowie, mieście, w którym mieszkał Gustaw Morcinek. Fot. W. Hudon

Pisarz GÓRNICZEGO ŚLĄSKA

— Dom Pana Morcinka? Zaraz za rogiem. Znałam go, nawet kiedyś fotografowaliśmy się razem z dużą grupą gości. Przyszliśmy złożyć mu życzenia urodzinowe. Pewnie pół miasta było wtedy w jego domku. Mam do dziś to zdjęcie.

Na parterze ukrytego w zieleni domku Morcinka dwie duże izby. Jedna to pokój gościnny, druga — pokój do pracy. Na stole maszyna do pisania, całaszafa książek z nazwiskiem „Gustaw Morcinek" na grzbietach. Stolik, półki, biurko obstawione podarunkami od górników. Otrzymywał je pisarz z okazji osobistych uroczystości, lub po prostu w dowód wdzięczności od ludzi, o których pisał swoje książki. W mieście znają go wszyscy.

— Był moim wychowawcą — mówi pan Paweł Wojnar — nauczyciel Zasadniczej Szkoły Zawodowej w Skoczowie. — Uczył polskiego i historii. Swoje książki zaczął pisać, gdy skończył 38 lat. Właśnie wtedy był moim wychowawcą. Jego lekcje prowadzone były z fantazją, umiał nas oczarować. Przychodził czasem na lekcje, prowadził ją i nagle stawał w miejscu, myślał o czymś przez chwilę, dawał nam czym prędzej jakąś robotę i notował, kreślił. Wiedzieliśmy, że pracuje nad pierwszą książką.

A jakie hece wyprawialiśmy pod jego kierunkiem nad Wisłą, albo na wycieczkach. Organizowaliśmy na zakończenie roku wielkie festyny, loterię fantową, zabawy. Wystawialiśmy jakieś sztuki, które pisał specjalnie dla nas pan Profesor.

Od czasu napisania „Wyrąbanego chodnika" na Śląsku czytali go wszyscy i wszyscy uważali się za jego znajomych. Kiedy w 1931 roku Morcinek otrzymał za „Wyrąbany chodnik" nagrodę państwową, każdy Ślązak wiedział, że pisarz buduje sobie za tę nagrodę domek w Skoczowie, gdzie przez wiele lat był nauczycielem.

Kiedy po wojnie Morcinek — były więzień dwóch obozów koncentracyjnych — wracał do Skoczowa, zatrzymał się na stacji granicznej w Zebrzydowicach, by nadać do domu depeszę. Poczta nie była jeszcze czynna, lał deszcz, stacja spalona, a jedyne połączenie ze światem posiadał naczelnik dyżurujący w drewnianym baraku. Przy aparacie telefonicznym dyżurował młody chłopiec, który usłyszawszy nazwisko: Morcinek, wykrzyknął uradowany: „A to się ucieszy moja mamulka. Wyżył pan, a ona tak lubi czytać pańskie książki". Depeszę przyjęto od pisarza bez pieniędzy.

Pamiętam też jeszcze jedno nasze spotkanie po latach. Kiedy po wojnie Morcinek wrócił do Skoczowa, zaczął odwiedzać szkoły. Nie uczył już — poświęcał się wyłącznie pisaniu. Któregoś dnia wchodzi do klasy, w której ja prowadziłem lekcje i staje jakby odrętwiały: — „To ty żyjesz?" — pyta. Wyściskał mnie na oczach całej klasy.

Dziś szkoła przy ulicy Mickiewicza nosi jego imię.

Wspólnie z panem Wojnarem zwiedzam szkołę. Oglądamy klasy, w których Morcinek uczył, oraz miejsca zabaw z dziećmi, salę, w której pisarz witał się po wojnie ze swoim uczniem.

— Przyjaźń z Morcinkiem łączyła mnie od urodzenia — mówi pan Antoni Burs — bo urodziliśmy się w tej samej miejscowości i byliśmy nawet sąsiadami. Pierwszą naszą kopalnią była kopalnia „Głęboka" w Karwinie, w której Morcinek dorobił się „niepośledniego" wówczas w hierarchii górniczej stanowiska ładowacza. Ja pełniłem funkcję „taczkarza". Okres pracy w kopalni był dla niego wielkim doświadczeniem życiowym. Po latach opisze je w „Wyrąbanym chodniku", ale będzie do nich wracał prawie w każdej książce. Prowadził wtedy wiele rozmów z górnikami, którzy przeżyli dwie wielkie katastrofy, rozmawiał z Kumorkiem, Gępczyńskim, Madzejem, Cieleckim, Kasperlikiem. Robił szczegółowe notatki. Umiał dotrzeć do górników którzy niechętnie rozmawiają o swojej pracy. Kumorek napisał mu nawet wypracowanie na temat katastrofy. Wiele to kosztowało trudu starego górnika. Studiował też Gustlik dokumenty, raporty akcji ratowniczej, czytał mapy górnicze, wszystko to, co mogłoby pogłębić jego wiedzę o ludziach kopalni. Za tę głęboką wiedzę i drobiazgową znajomość wszystkich realiów górniczego fachu cenione później jego pisarstwo.

Odwiedzam jeszcze panią Annę, którą spotkałem na drodze. Jej dom leży bardzo blisko willi Morcinka. Pani Anna pokazuje mi miejsca spacerów pisarza z jego ulubionym psem. Dowiaduję się również, że Morcinek wiele podróżował po Śląsku. Był częstym gościem kopalni. Znają go dobrze i pamiętają górnicy kopalń: „Prezydent", „Śląsk", „Marcel", „Anna", „Rymer", „Jankowice", oraz „Chwałkowice". Szczególnie chętnie zwiedzał kopalnie rybnickie, bo krajobraz tam przypomniał mu rodzinną Karwinę i jej ludzi. Z okazji siedemdziesiątych urodzin, na dwa lata przed śmiercią, zjechali się do niego górnicy z prezentami. Ale i na co dzień pełno było w skoczowskiej willi gości.

*

Od czasów, kiedy w gospodzie przy piwie pokazywał górnikom swoje świadectwa, minęło sześćdziesiąt lat. Wtedy nikt jeszcze nie przypuszczał, że Morcinek będzie tak długo spłacał dług, który zaciągnął u górników. Spłacił go z nawiązką. Swoimi książkami — „Wyrąbanym chodnikiem", „Pokładem Joanny", szkolnymi czytankami o Łysku z pokładu Idy i innymi, które znają pięcio- i sześcioklasiści. Książki o Śląsku przeżyły swego autora.

WIESŁAW HUDON

Jadą w świat pociągi załadowane węglem — naszym czarnym złotem. Foto CAF

Skąd wziął się węgiel w ziemi?

— pyta Waldemar Kempka z Bytomia

PRZEZ wiele lat, pytanie takie było dla ludzi wielką zagadką. Próbowano na nie w różnych okresach w różny sposób odpowiedzieć. Tak na przykład w XVI wieku uważano węgiel za jakiś dziwny materiał, który stwardniał pod ziemią na kamień, a pali się ławo dlatego, że jest zmieszany z tłuszczem. Na początku XIX wieku inni uczeni twierdzili, że węgiel kamieny jest skałą przepojoną „sokiem węglowym".

Oczywiście poglądy te były fałszywe. Obecnie możemy w sposób naukowy wyjaśnić pochodzenie węgla.

*

Kiedyś, przed milionami lat w okresie, który geolodzy nazywają karbońskim, na całej naszej ziemi było bardzo ciepło, w powietrzu dużo wilgoci i dwutlenku węgla; to wszystko sprzyjało bujnemu rozkwitowi roślinności. Na bagnistych obszarach nadmorskich rosły olbrzymie lasy. Oczywiście były one zupełnie niepodobne do dzisiejszych. W lasach pierwotnych rosły wielkie drzewiaste skrzypy, widlaki i paprocie. Niektóre z tych roślin dorastały do 20 m wysokości. Właśnie z tych rozległych lasów karbońskich powstały pokłady węgla.

Bujna roślinność wilgotnych okolic, przeważnie błot i moczarów po obumarciu zapadała w głąb. Później pod wpływem ruchów ziemi, które w tamtych czasach były zjawiskiem powszednim, obszary te zalewane były co pewien okres czasu wodą morską, czy nawet rzeczną spływającą z pobliskich wzgórz. W tych płytkich wodach (bagnach) na skutek braku dostępu powietrza rozpoczął się proces torfienia leżących na dnie szczątków roślinnych. Uczeni nazywają ten proces PIERWSZYM STADIUM UWĘGLANIA.

Następnie po wielu, wielu latach torfowiska zasypywane były ziemią naniesioną przez wodę i wiatr. Wtedy na tych nowych pokładach ziemi zaczęła znowu rosnąć roślinność, tworzyło się torfowisko, następowało ponowne obniżanie się dna itd. W ten sposób powstawały pokłady przyszłego węgla. Pokładów takich mogło się utworzyć kilkaset. Na przykład w zachodniej części Zagłębia Górno-Śląskiego ilość pokładów wynosi aż 474.

Kiedy dawne torfowisko zostało zasypane ziemią, torf znalazł się jakby w prasie przyciskany z góry grubymi warstwami skał do twardego dna. Po wielu latach tamtego ugniatania torf upodabniał się coraz bardziej do twardej skały, tym bardziej, że nad starym pokładem powstawał nowy, nad nimi jeszcze inny itd. Olbrzymie ciśnienie zewnętrznych warstw, któremu towarzyszyło podwyższanie się temperatury, prowadziło do jeszcze większego uwęglania szczątków roślinnych a po kilkuset milionach lat — węgla kamiennego.

ST. BOROWIECKI

Rys. W. Lewiński

Czy dotrzyma słowa?

MAMO! Prędko obiad, bo idę do kina.

— Przecież jutro masz klasówkę — załamała ręce matka. Bolek rzucił niedbale teczkę na tapczan i usiadł przy stole.

— Już to umiem — skłamał — tylko wieczorem powtórzę.

Spojrzała, niedowierzająco kiwając głową.

— Zawsze umiesz, a ja później wstydzę się na zebraniach. Na twarzy chłopca pojawił się grymas niezadowolenia.

— Ależ mama nudzi... Nie pamiętam, kiedy ostatni raz byłem w kinie... Chyba mi się należy?... Nie odpowiedziała, stawiając przed synem talerz z rosołem. Milczeli. Tylko ojciec, zagłębiony w ogromnym fotelu, szeleścił gazetą. Bolek spojrzał na duży zegar, wiszący nad kredensem. „Późno!" — pomyślał. Za oknem ktoś gwizdał melodię Młynarskiego.

— Musisz iść? — spytała matka, pomagając synowi włożyć wiatrówkę.

— Bilety już mamy. Szkoda, żeby się zmarnowały.

— A co będzie z klasówką?! — krzyknęła, gdy wybiegł trzaskając drzwiami. — Nawet nie skończył obiadu — zwróciła się do męża, który właśnie odkładał przeczytaną gazetę.

— Rozpieszczasz go, moja droga. Stanowczo ci mówię, że go rozpieszczasz.. Dawno nie dostał w skórę.

Na chwilę przestała zmywać naczynia:

— Jesteś staroświecki, Jurku. Któż teraz bije dzieci?

*

Klasówka z chemii. Na korytarzu szkolnym widać grupki chłopców i dziewcząt, uczących się w popłochu. Drżące głosy powtarzają dziesięciokrotnie wzory i równania chemiczne

— Słuchajcie, jak się otrzymuje dwutlenek węgla? — zapytała Elka.

— Po co się uczysz? I tak nie będziesz Skłodowską — roześmiał się Bolek.

— Ale dowcip. Zastanów się, czym ty będziesz — odgryzła się urażona.

Zadzwonił dzwonek i... zaczęło się. Bolek przyszedł do szkoły, „zielony". Nic nie umiał, ale poprzedniego dnia zrobił ściągę. Teraz dyskretnie zerka na wąski pasek papieru. — „Aby tylko dwa pytania... Już będzie z głowy... Gdzie się podział ten azotan srebra? Przecież go pisałem... Żeby choć dwa pytania..." — myślał, przewracając nerwowo kartki.

— Kownacki, co ty tam robisz? — zapytała nauczycielka w najmniej dla niego oczekiwanym momencie.

No nie... Tego by się nie spodziewał... „Takim być bałwanem i zapomnieć, że jest się w klasie" — myślał karcąc siebie w duchu.

Nauczycielka tymczasem wyjęła paski spod kasetki i wolno przewracając jeden po drugim powiedziała:

— Chyba więcej ci to czasu zajęło, niż by zajęła ci nauka. To już twoja druga dwójka z chemii... Na jutro poproszę mamę.

Siedział w ławce ze spuszczoną głową, zły i jednocześnie odrętwiały w swej bezsilności. Wstyd mu było kolegów, nauczycielki. Wstydził się samego siebie, za swój brak konsekwencji. Ale najgorzej żal było matki. Co ona powie? Znów będzie się martwiła, płakała. Zauważył, że po raz pierwszy pomyślał w ten sposób o matce. Nigdy tego nie było... A teraz?... Czyżby sumienie? „Tak — myślał — muszę poprawić dwóje. Koniec z kinem, a Irek niech się wypcha swoimi płytami".

Czy dotrzyma słowa?

JOLA GŁOWACKA
Warszawa

CHŁOPCY o DZIEWCZĘTACH

DZIEWCZĘTA dzielą chłopców na przystojnych, średnich i brzydkich. Jeżeli chłopcy dzieliliby dziewczęta według inteligencji, to podział ten nie wypadłby zbyt korzystnie dla dziewcząt. Są bowiem dziewczęta niezbyt ładne i zgrabne lecz inteligentne, ale cóż z tego, jeżeli chłopcy wolą te ładniejsze i zgrabniejsze.

Oczywiście są też dziewczęta ładne, zgrabne, inteligentne, oczytane, z którymi można porozmawiać na różne tematy. Tych dziewcząt chłopcy nie nazywają „kozami" lub „smarkulami", ale odnoszą się do nich z szacunkiem i powagą. Mają one wśród chłopców duże powodzenie, bo trzeba przyznać, że chłopcy znajdują dużą przyjemność w rozmowie z nimi. Natomiast dziewczęta odnoszą się z pewną rezerwą do brzydkich chłopców, chociażby niezwykle inteligentnych. Dużą rolę u chłopców odgrywa ubiór, ma on być zgodny z najnowszym krzykiem mody. Dziewczęta patrzą innym okiem na chłopców modnie ubranych, a innym na tych, którzy nie ubierają się modnie. Tych ostatnich nazywają zacofanymi.

Chłopcy zaś patrzą łaskawym okiem na ładnie ubrane dziewczęta, ale ci inteligentni najwięcej cenią mądre koleżanki. (rj)

ANDRZEJ

NADSZEDŁ TAKI DZIEŃ, kiedy znalazłem przyjaciela. Nareszcie mogłem komuś powierzyć tajemnice, opowiedzieć o najskrytszych marzeniach. Moim przyjacielem została dobra, miła dziewczyna. Przyznaję, fakt ten oszołomił mnie bezgranicznie. Lubiłem ją, jak kogoś bliskiego z rodziny. Wszystkie chwile spędzone razem były wesołe i szczęśliwe.

I później, po pewnym czasie, przekonałem się, że moja — prawie siostra, pragnie zrobić ze mnie „swoją sympatię". Nie, wcale nie traktowała mnie jak kolegę. To było coś więcej, czego nie umiem określić. Ucieklem, przeżyłem wstrząs, świat zmienił barwę, stał się szary, beznadziejny.

Jeszcze wieczorami wbrew sobie chodziłem wokoło domu, w którym mieszkała. Długo patrzyłem w rozświetlone okna, jeszcze chciałem ją zobaczyć... Stale, codziennie myślałem, że ona, ta mądra, wróci, zrozumie... Myliłem się. Zostały głupie marzenia o znalezieniu dziewczyny - przyjaciela. Przyjaciela na dobre i złe.

Od tej chwili boję się rozmów z dziewczętami. Kiedy przypominam sobie tamtą dziewczynę, wraca rozczarowanie. (rj)

ERNEST

Dokończenie z poprzedniego numeru

ZAGADKA TELEPATII

WYJAŚNIENIEM niezwykłego zjawiska telepatii, polegającego na przekazywaniu na odległość myśli bezpośrednio z mózgu do mózgu, zajęli się sławni uczeni w wielu krajach.

Wiosną ubiegłego roku sekcja bioinformacji Towarzystwa Naukowego im. Popowa przeprowadziła eksperymentalną łączność telepatyczną z Moskwy do Nowosybirska. Doświadczenie trwało z przerwami od 19 do 27 kwietnia. Zegary w Moskwie i Nowosybirsku nastawione były według czasu moskiewskiego.

„Nadawca", czyli człowiek przekazujący sygnały, znajdował się w Moskwie, „odbiorca" — w Nowosybirsku. Eksperyment przeprowadzano metodą opracowaną przez uczonego E. K. Naumowa.

Wypróbowano dwa rodzaje transmisji myślowych: 1 — karty Zenera i 2 — wizerunki przypadkowo wybranych przedmiotów. Karty Zenera przedstawiają pięć różnych figur geometrycznych: koło, kwadrat, gwiazdę, krzyż i trzy faliste linie.

Doświadczenie z przekazywaniem obrazu przedmiotów, np.: śrubokrętu, hantli..., pozwala uczonym lepiej zbadać zasięg zjawiska, a przy tym uwzględnić wpływ emocji i skojarzeń.

Odbiorcą transmisji telepatycznej w Nowosybirsku był K. N. Nikołajew, natomiast nadawcami w Moskwie było dwóch ludzi — biofizyk J. I. Kamienski i student A. G. Arłaszyn.

Widzę go wprost przed sobą

NADAWCA KAMIENSKI usiadł wygodnie w pokoju, w którym poza nim nie było nikogo. Kiedy nadeszła umówiona godzina eksperymentu, komisja podała mu pierwszy przedmiot. Był to śrubokręt w czarnej, plastykowej

Ciąg dalszy na str. 4—5

Wspomnienie z lat okupacji

De

Jest rok 1942 — wieczór, godzina policyjna. Ulice są puste, jakby wymarłe. W oknach domów nie palą się światła.

Wiesiek jest z ojcem. Mama musi się ukrywać. Leżą już w łóżkach i rozmawiają o koniach. Lubią te rozmowy. Ojciec traktuje Wieśka jak najlepszego przyjaciela. Wiesiek nawet wie, że tata działa w konspiracji, że ma drugie imię — Karol. Właśnie dla towarzyszy z wspólnych akcji przeciwko hitlerowcom.

Wreszcie rozmowa się skończyła — ojciec i syn ułożyli się do snu. Nic nie wskazywało na to, że coś może się stać...

Nagle ciszę wieczoru przerwał warkot samochodu. Mieszkańcy uważnie nasłuchiwali, gdzie samochód się zatrzyma. Trwało to jednak chwilę. Warkot ustał pod domem, gdzie mieszkał Wiesiek...

Następnie słychać było dobijanie się do bramy i krzyki na dozorcę — dlaczego tak długo nie otwiera. Teraz wszyscy mieszkańcy myśleli o jednym: „Po kogo przyjechali?"

Dozorca otworzył bramę i pięciu gestapowców rozkazało mu wskazać mieszkanie ojca Wieśka.

Nie ma rady... Dozorca wszedł powoli na schody.

Wiesiek usłyszał tupot butów i następnie gwałtowne dobijanie się do drzwi. Popatrzył na ojca — obaj już wiedzieli, co to oznacza. Nie było innego wyjścia. Ojciec otworzył drzwi.

Gestapowcy wpadli z krzykiem:

— Hände hoch! Ręce do góry! Stanąć twarzą do ściany!

Jeden z hitlerowców zatarasował drzwi. W rękach trzyma pistolet maszynowy gotowy do strzału. Pozostali zaczęli przeprowadzać rewizję: w szafie, tapczanie, bieliźniarce. Szukali broni i tajnych dokumentów.

Wiesiek zastanawia się. Znajdą coś, czy też nie? Jeśli nie, to może nie zabiorą ojca. Przecież niewielu ludzi wiedziało, że był jednym z tych, którzy zakładali PPR i że w ich mieszkaniu odbyło się pierwsze zebranie.

Nie znaleźli nic. Przerwali rewizję i usiedli przy stole. Jeden z gestapowców pozwala ojcu opuścić ręce i każe mu podejść do stołu.

— Kennkarte!

Ojciec wyciąga dowód i pokazuje. Teraz hitlerowiec wypełnia jakiś druk. W następnej chwili biorą ojca pod ręce i wyprowadzają.

Wiesiek odwrócił się. Zabierają ojca! Co robić?

Ojciec spojrzał na Wieśka... w spojrzeniu tym było coś więcej niż pożegnanie; oczy mówiły: „Trzymaj się, bądź dzielny".

Drzwi zostały zamknięte. Wiesiek został sam. Długo jeszcze stał w tym samym miejscu ogłuszony zdarzeniami i własną bezradnością.

Rozejrzał się po mieszkaniu — teraz było jakieś obce i wrogie. Rzeczy porozrzucane, ale nie tylko to było przyczyną tej zmiany... Brakowało ojca. Wieśka opanowała rozpacz. Wiedział, co dzieje się z ludźmi, którzy dostają się w „łapy" gestapo. Płakał, ale myślał jednocześnie, że musi się zemścić. Pragnął mieć tyle sił, żeby wyrwać im ojca. Ale jak to zrobić?

Następny dzień zaczął od

CIĄG DALSZY ZE STR. 3

ZAGADKA TELEPATII

oprawie. Na nadanie do Nowosybirska obrazu tego śrubokrętu Kamienski miał 10 minut. Muszę przy tym zaznaczyć, że ani nadawca w Moskwie (Kamienski), ani odbiorca w Nowosybirsku (Nikolajew) nie wiedzieli, jakie obrazy będą nadawane.

Jak przebiegło nadawanie obrazu śrubokrętu? Kamienski wziął przedmiot ten w ręce i skupił na nim całą swą uwagę. Jednocześnie — jak o tym później relacjonował — miał w myślach przed sobą postać odbiorcy, Nikolajewa. Twarz Nikolajewa widział to wprost przed sobą, to patrząca na przedmiot zza jego ramienia.

Tymczasem prawdziwy Nikołajew był oddalony o tysiące kilometrów. I on również znajdował się w czasie eksperymentu w odizolowanym pokoju i zapisywał to, co podczas nadsyłania „depeszy" z Moskwy odbierał jego mózg. Oto jak przyjął od Kamienskiego obraz śrubokrętu z czarnym plastykowym uchwytem: „Coś długiego... prawdopodobnie plastykowego... czarnego i plastykowego..."

Drugi nadawca, student Arłaszyn, sam mógł wybierać przedmioty do transmisji telepatycznych. Ta metoda dała jednak gorsze rezultaty. W czasie łączności wystąpiły zakłócenia spowodowane rozpraszaniem myśli nadawcy. Po prostu przypadkowe zwrócenie uwagi na inne przedmioty przeznaczone do transmisji osłabiło i zniekształciło zasadniczy obraz.

Doświadczenia z kartami wykazały, że liczba dokładnie przyjętych „depesz" absolutnie wyklucza przypadkowy zbieg okoliczności.

Łączność biologiczna u zwierząt

DZIŚ większość uczonych nie uważa telepatii za czarną magię, domenę szarlatanów, specjalistów od wywoływania duchów. Telepatia stała się czę-

ecyzja

sprzątnięcia śladów rewizji. Potem chodził bez celu po mieszkaniu i po ulicy. Odwiedził znajomych. Opowiedział im o zdarzeniu. Dzielili jego niepokój, ale nie było mu lżej. Najgorzej było wieczorem. Znów był sam w mieszkaniu, znów wokół była cisza, znów do głowy cisną się te same natrętne pytania: „Muszę wiedzieć, co się z ojcem dzieje. Ale kto mi to powie? Tylko „oni" o tym wiedzą. Napiszę do nich list!"

Usiadł przy stole i napisał list do gestapo z pytaniem, co się stało z jego ojcem. Zaadresował: Aleja Szucha 25. Zakleił kopertę, położył obok łóżka.

Ranek był słoneczny, ciepły, cała przyroda cieszyła się złotą polską jesienią i wydawało się, że taki dzień przeznaczony jest do radości, że w takim dniu nie może stać się nic złego. Pełen nadziei i otuchy pobiegł do skrzynki pocztowej i wrzucił list. Resztę dnia i następne dwa dni spędził na oczekiwaniu. Chodził w Aleję Szucha. Obchodził ze wszystkich stron olbrzymi gmach gestapo, ogrodzony z dwóch stron zasiekami z drutu kolczastego. Chciałby wiedzieć, w którym miejscu tego olbrzymiego gmachu znajduje się jego ojciec. Siadał na murku i czuł się bliżej ojca. Siedział tak długo i patrzył na ponury gmach, przy którym trzepotała flaga z czarną swastyką. Myślał: „Dlaczego jedni ludzie mecza i zabijają drugich, po co ludzie giną? Dlaczego wymyślili wojnę. Po co oni przyszli do naszego kraju i nie pozwalają nam w nim żyć? Co robią teraz z moim ojcem?

Wrócił do domu. Jeszcze jedna noc. Co będzie jutro?

Następnego dnia listonosz przyniósł wezwanie do gestapo! Wiesiek pobiegł prędko podzielić się tą wiadomością z przyjaciółmi ojca. Zaniepokoili się teraz o los Wieśka. Wszyscy radzili: „Nie chodź tam! Tam się niczego dobrego nie dowiesz. Po co iść? Zwymyślają cię zabiją. Nie puścimy ciebie"!

Wiesiek obiecał, że nie pójdzie, ale kiedy znów został sam, czuł, że nie może zrezygnować. Boi się, ale nie zrezygnuje. Czułby się tak, jakby zdradził ojca.....

Następny dzień był dniem wyznaczonym...

Wiesiek wziął wezwanie i pojechał. Znów ten sam budynek, ogrodzenie, flaga, wartownicy z karabinami.

Skierował się w stronę wartownika.

— Halt — pada ostre wezwanie.

Wiesiek wyciąga przepustkę. Tamten pokazuje mu kierunek. Jeszcze jedno sprawdzenie przepustki i wartownik wprowadza go po wielkich marmurowych schodach na górę, otwiera drzwi i popycha do środka. Wiesiek widzi olbrzymi gabinet. Pod ścianą wielkie biurko, za nim olbrzymi portret Hitlera, cała postać od stóp do głów. Przy biurku siedzi gestapowiec w mundurze, przy nim stoi drugi, również w mundurze, a z drugiej strony mężczyzna ubrany po cywilnemu. Na biurku leży szpicruta.

Gestapowiec przy biurku kiwnął na niego. Wiesiek podszedł i położył wezwanie. Tamten wyciągnął z papierowej teczki jego list. Pyta o coś Wieśka po niemiecku, a cywil tłumaczy.

— Ty pisałeś?...

— Tak, ja pisałem — odpowiedział cicho.

W tej chwili gestapowiec zaczyna mu wymyślać. Głośno, ochrypłym głosem, waląc pięścią w stół. Ten drugi wziął ze stołu szpicrutę i zaczął miarowo uderzać nią o cholewę buta. Cywil tłumaczy niektóre zdania: „Ty smarkaczu, po co nam zajmujesz czas takimi sprawami! Przecież my mamy tyle roboty. Mamy ważniejsze sprawy niż odpowiadać na takie listy".

Ale w tym momencie Wiesiek też krzyknął:

— Chcę wiedzieć, coście zrobili z moim tatusiem!

Cywil nie przetłumaczył od razu, może był zdumiony odwagą chłopca. Gestapowiec znów zaczął wrzeszczeć:

— Czego on chce?!

Wiesiek ponownie, ale już spokojnie powiedział:

— Chcę wiedzieć, coście zrobili z moim tatusiem!

Zapanowała cisza. Nie spodziewali się takiego oporu. Myśleli, że go szybko zastraszą i wyrzucą za drzwi. Gestapowiec wstał. Zaczął chodzić po pokoju. Wreszcie stanął i powiedział:

— Twój ojciec nie żyje!

Kłamał. Ale Wiesiek nie mógł wtedy o tym wiedzieć. Więc uwierzył. Nie mógł wiedzieć, że ojca trzymali jeszcze w gestapo, bili go i przesłuchiwali, że nadzorca szczuł go psami, że stamtąd przewieźli go na Pawiak, a po miesiącu — 29 listopada — — do Oświęcimia, gdzie 13 grudnia został zamordowany.

Wiesiek odwrócił się. Nie chciał, żeby zobaczyli w jego oczach łzy.

Wybiegł z budynku. Pobiegł do tramwaju. Prędko wrócił do domu. Nie chciał, żeby ktokolwiek widział, że płacze. Tato nazywał to „rozklejaniem się". Zawstydzał go nawet, kiedy był jeszcze zupełnie małym chłopcem. Kiedyś miał głęboko rozcięte kolano, bardzo bolało. Ojciec robił mu opatrunki. Mówił wtedy: „No, nie rozklejaj się, bo nam się mama rozpłacze; my mężczyźni musimy być dzielni".

Wiesiek zamknął się teraz w przeraźliwie pustym mieszkaniu, wypłakał się w samotności. Potem długo leżał z otwartymi oczami. Przypomniał sobie ostatni wieczór z ojcem. Ich pożegnanie, spojrzenie, które nakazywało dzielność. Zapragnął zemścić się na tych ludziach, mówiących obcym językiem, którzy wtargnęli do jego kraju.

*

Wiesiek wstąpił do „Szarych Szeregów". Mając 13 lat walczył z bronią w ręku przeciwko znienawidzonemu wrogowi.

Przechował do dziś drogie wspomnienie o ojcu, oraz to, co przejął od niego najcenniejszego: postawę, która nie pozwala być obojętnym wobec istniejącego wokół zła!

Opowieść ta jest prawdziwa. Opowiadał mi ją sam Wiesiek, dziś dorosły mężczyzna — towarzysz Wiesław Rydygier.

Napisała

MIRA MALINOW — PASSINI

Rys. J. Rocki

ścia nowo rozwijającej się nauki — bioniki. Szczególną uwagę poświęca się informacji biologicznej, ponieważ tu, mierzy innymi, kryje się rozwiązanie zagadek telepatii. Okazuje się, że zdolność do łączności biologicznej posiadają (oczywiście w różnych stopniu) wszystkie żywe istoty — ssaki, ptaki, ryby, owady.

Stwierdzono np. że samiec ćmy wyczuwa obecność samiczki aż z odległości 8 km. Jeszcze bardziej zadziwiający jest narząd informacji biologicznej u grzechotników. Mieści się on między oczami a nozdrzami. Przy pomocy tego narządu żmija rozpoznaje różnice temperatury z dokładnością do tysiącznej części stopnia.

Prawdziwe zdumienie wywołują zdolności ptaków. Jaki fizjologiczny instrument dopomaga im przy corocznych przelotach odnaleźć właściwe miejsce wędrówki? Czym objaśnić to, że ptaki latają zawsze po tych samych trasach. Istnieją dane, że ptaki kierują się prądami elektrycznymi, które powstają w ich organizmie i pomagają im orientować się na Biegun Północny. Muchy, chrząszcze i inne owady również potrafią wyczuwać pola magnetyczne ziemi.

Nie mnożąc przykładów można stwierdzić, że skoro przyroda obdarzyła zwierzęta — stojące w rozwoju ewolucyjnym niżej człowieka — doskonałymi instrumentami informacji, to przecież nie zapomniała również i o nas, ludziach.

Każdy człowiek posiada zdolności telepatyczne

WIĘKSZOŚĆ uczonych twierdzi dziś, że zdolność telepatyczna rozwinęła się u człowieka pierwotnego, który jeszcze nie umiał mówić, a już odczuwał potrzebę porozumienia się z innymi osobnikami swego gatunku. Ta zdolność wówczas była znacznie większa niż dziś. Rozwój społeczeństwa ludzkiego, w szczególności mowy, zaś później i innych technicznych sposobów wzajemnego porozumienia się doprowadził do tego, że odpadła konieczność łączności telepatycznej — myślowej. Jednakże po wielu latach nieświadomości zaczynamy odkrywać w sobie niezwykłe zdolności przekazywania myśli. **Posiadają je wszyscy ludzie — tylko w różnym stopniu.**

Podobno najlepiej łączność telepatyczna mogą nawiązać osoby bliskie, np. rodzice z dziećmi. Przy czym gwałtowne przeżycia, jak strach o zdrowie i życie osoby bliskiej, jeszcze bardziej sprzyjają w nawiązaniu łączności myślowej. Ale, co ciekawsze, **zdolności telepatyczne można rozwijać poprzez trening.**

*

Niestety, nikt nie potrafi dziś dokładnie wytłumaczyć w naukowy sposób zjawiska telepatii. Postawiono na razie mniej lub więcej prawdopodobne hipotezy. Jedna z nich twierdzi, że telepatia, to przekazywanie myśli na falach ultra długich lub przy pomocy fal elektromagnetycznych przy bardzo niskim natężeniu pola, ale w szerokim zakresie częstotliwości.

Jestem pewien, że nie wszyscy rozumieją powyższe terminy fizyczne. Wystarczy więc zapamiętać, że łączność telepatyczna ma pewien specjalny charakter fal elektromagnetycznych. Więcej na razie nic nie wiadomo, tak samo, jak nie znamy mechanizmu wielu innych funkcji naszego mózgu.

Co za paradoks — próbujemy odkrywać tajemnice innych planet, a tymczasem sami dla siebie jesteśmy ciągle wielką zagadką.

ST. BOROWIECKI

Kuter nr 47

3

OCZEKIWAŁ GO NA GANKU.

— Od tej chwili — powiedział — zaczęliśmy już razem pracować. I od tej chwili będziemy działać tak szybko, jak tylko się daje. A w ogóle, nazywam się Żenia.

— Aleksiej — burknął Alosza, niechętnie wyciągając swoją rękę na spotkanie kapitańskiej.

Kiedy podeszli do przystani, silnik kutra nr 47 cicho warczał. Żenia po trapie wszedł na burtę. Z luku maszynowni wysunęła się głowa mechanika.

— Wszystko w porządku? — spytał Żenia.

— Siemiona nie ma, wczoraj pohulał sobie zanadto.

— No to ładnie — spokojnie powiedział Żenia. — Od dzisiejszego dnia będzie hulał, ale już nie u nas.

Żenia podszedł do sterówki, włączył burtowe światła. Zadźwięczał telegraf, podając rozkaz do maszynowni. Kuter drgnął i ledwie dostrzegalnie zaczął oddalać się od pomostu. Ze sterówki wysunął głowę Żenia i krzyknął do Aloszy, który stał na dziobie w głębokim zamyśleniu:

— Trap!

— Co? — spytał Alosza.

— A trap, kto będzie oddawał?

Alosza schylił się i schwycił za trap, który już prawie zsunął się z burty. „Też mi trap!" — pomyślał, taszcząc do góry deskę z poprzybijanymi w poprzek deszczułkami.

Idąc wzdłuż burty piętnaście kroków, znalazł się na rufie. To była łupina, a nie kuter. Kiedy kiwała się z boku na bok, woda o mało nie dostawała pokładu. Na rufie leżała sieć przygotowana do spuszczenia. Pachniało od niej jodem i rybami. Szklane pławy były starannie owinięte siecią, zabezpieczone. Tutaj też leżała wielka metalowa boja. Wszystko to było znane Aloszy, chociaż ani razu nie pływał na kutrze, ale nie na darmo mieszkał już 15 lat nad morzem.

Światło. Za rufą majaczyły światła kutrów, które później wyszły w morze. Alosza poczuł pewne zadowolenie, że są pierwsi, ale jednocześnie uświadomił sobie, że zapędzono go na morze prawie siłą. Zrobiło mu się smutno. Już tam w dyspozytorni postanowił, że będzie pracował nie gorzej od innych. Będzie tyrał jakby był z żelaza, nie znając zmęczenia. Za to jutro będą pływać sami, bez niego. Nikt, nawet ojciec, nie może zmusić piętnastoletniego chłopca do pracy na równi z dorosłymi.

Rufa miękko opadła na dół. Alosza przysiadł na sieci, schwyciwszy się za nią rękami. Kuter wyszedł z zatoki w zalew, chybotanie się nasiliło. Te same trzy stopnie, o których tak spokojnie mówił dyspozytor, w praktyce wyglądały inaczej. Fale niecierpliwie uderzały o burty kutra i pochylały go raz w lewo, raz w prawo, jakby ktoś przekładał z ręki do ręki.

Z kubryku dochodziły krótkie, przerywane, dźwonki. Na dużych statkach znaczyłoby to bojowy alarm. Tutaj po prostu kapitan budził załogę.

Aloszka podszedł do sterówki. Z malutkiego kambuza wyjrzał marynarz w brązowym swetrze. Wargi jego były przecięte grubą blizną. Alosza poznał Wowę — tak po imieniu mówiono o tym marynarzu w osiedlu, nie zważając na to, że miał już 40 lat.

— Uszanowanie, bosman! — powiedział Wowa, i Alosza zrozumiał, że kapitan zdążył mu już coś nagadać.

— Na imię mi Aleksiej — sprostował.

— Nie chcesz — nie będę cię nazywał bosmanem — zgodził się Wowa. — Czołem, Aleksiej!

Alosza nie odpowiedział. Wowa wstał z kolan i zaczął grzebać w kuchni pogrzebaczem. Z kubryku przez luk prowadzący do sterówki powoli wychodzili marynarze. Pierwszy wyłonił się mały łysy człowiek w kapciach. Za nim niewysoki, szczupły chłopak, który, nie wiedzieć czemu, uśmiechał się. Ostatni wyszedł chudy młody elegancik — inaczej trudno go było nazwać. Ubrany był w piękny japoński sweter z emblematem Olimpiady. Wystroił się jak do dziewczyny.

Na Aloszę nie zwrócili nawet uwagi, od razu skierowali się na rufę i zaczęli się krzątać przy sieciach. Poszedł za nimi, ale co powinien robić, nie wiedział. Opałszy się o sterówkę stał, czując się tu widzem. Miał jednak rybacki kapelusz i rybackie buty i patrzył lekceważąco na tych niepoważnych ludzi w swetrach i bamboszach. Zresztą od marynarzy pływających po zalewie nic lepszego nie można było się spodziewać.

Tymczasem kapitan przedostał się na mostek, jeśli można tak nazwać maleńki podest na dachu sterówki.

— No, jak tam? — spytał z góry.

— W porządku!

— Wyrzucić boję!

Boja wyleciała za burtę. Silnik zawarczał głośniej. Kuter pełną szybkością zataczał okrąg. Wyrzucili też za burtę przywiązaną do boi linę, na której była umocowana sieć.

Minęło może pięć minut lub nieco więcej, a lina ciągnęła się z ładowni, jakby nie miała końca. Kuter zatoczył półokrąg i od razu sieć ożyła i zaczęła pełzać do wody. To wszystko następowało jakby machinalnie, samo z siebie. Marynarze stali bezczynnie. Z nich trzech tylko Elegancik w swetrze był zajęty, ale też nie robotą, a raczej zabawą. Stał i na miejscu przeskakiwał z nogi na nogę, omijając ruszającą się sieć, jakby chciał pokazać, jak mu to zgrabnie idzie. Jak tylko sieć znalazła się w morzu, wyskoczył na pokład. Teraz z ładowni wypełzła druga lina. Kuter zamknął okrąg i przybliżył się do boi. Boję wciągnięto na burtę. Obie liny umocowano. Drgając z wysiłku, kuter powoli ruszył naprzód. Kapitan, zostawiwszy koło sterowe, zszedł z mostku. Teraz sieć pełzająca po dnie, daleko z tyłu, trzymała stateczek jakby na mocnych lejcach — żadne ruchy steru nie mogły zmienić kursu.

— No, do śniadania — powiedział Wowa, gramoląc się z kambuza.

Marynarze chętniej niż wychodzili, włazili teraz do kubryku. Bystry wzrok Aloszy zauważył to z zadowoleniem.

— Do śniadania, Aleksy! — zawołał Wowa.

— Nie chcę.

— Nasze „nie chcę" zostało na lądzie — powiedział kapitan, stojący za plecami Aloszy — a na morzu jest regulamin i porządek dnia. Rozumiecie, bosmanie?

— Ja dla was nie bosman!

— Masz rację — zaśmiał się kapitan. — Każdy człowiek ma imię. Pozwól, Aleksy, idziemy na śniadanie.

Alosza wszedł do maleńkiego kubryku, gdzie za maleńkim sześciokątnym stołem siedziało już trzech marynarzy. Kapitan wcisnął się między nich. Wowa podał z góry kocioł z barszczem, duży czajnik i także zszedł na dół. W pięciu ścisnęli się przy stole i dla Aloszy zostało w ten sposób dużo miejsca. Wowa rozlał barszcz do misek, żeby się nie wylewał, kutrem bowiem kiwało w dalszym ciągu. Kapitan Żenia podniósł łyżkę i powiedział:

— Proszę o minutę uwagi.

Elegancik skwapliwie wyciągnął łyżkę z miski. Łysy marynarz położył na stole kawałek chleba. Widocznie kapitana słuchali na tej łupinie.

— Razem z nami — powiedział kapitan — siedzi nowy członek załogi, nazywa się Aleksy. Nazwiska jego na razie nie wymieniam, chociaż mógłbym się na nie powołać, dlatego, że wszyscy je szanujemy. Między nami mówiąc, nazwisko nie świadczy o człowieku. Znam jednego, który się nazywa Suworow, ale nie prowadzi pułków do ataku, a pracuje jako dozorca na wystawie psów.

Chudy Elegancik zaśmiał się basem. Patrząc na niego, zaryczała reszta marynarzy. „Dowcipnisie z nich wszystkich — zasępiwszy się pomyślał Alosza. — Dlatego, że kapitana mają humorystę".

Cdn.

JURIJ TOMIN

oprac. B. TYLICKA

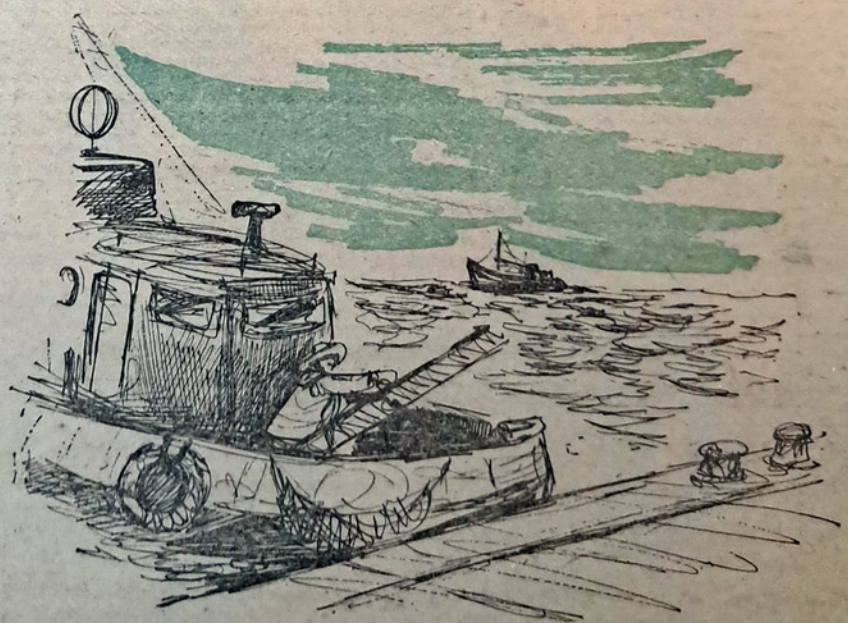

Rys. J. Rocki

Z mikrofonem po stadionach świata

PAN BOHDAN TOMASZEWSKI — sprawozdawca sportowy Polskiego Radia — gości dziś w naszej redakcji. Pozwólcie więc, że skorzystamy z okazji, aby w waszym imieniu zadać mu kilka pytań.

— Jak to się stało, że znalazł się pan przed mikrofonem? — pytam (a w duchu dodaję: i że robi to pan tak doskonale, iż nawet niekibice sportowi słuchają przeprowadzanych przez pana transmisji?).

— Należę do pokolenia — mówi pan Bohdan Tomaszewski — dla którego sport był taką samą pasją, jaką dzisiaj dla młodych jest bigbeat. Naszymi gwiazdami byli sportowcy. Mówić o sporcie przez radio to było moje marzenie! Ale nie spełniło się tak prędko...

Razem z braćmi i kolegami z warszawskiego gimnazjum im. Staszica założyliśmy klub sportowy. Prezesami i sekretarzami byli koledzy. Mieliśmy nawet legitymacje, znaczki, ba, własny hymn! Dorośli udawali, że o niczym nie wiedzą; na szczęście uczyliśmy się nie najgorzej.

— Czy chce pan przez to powiedzieć, że obecnie młodzież raczej oczekuje inicjatywy dorosłych i woli, aż oni coś im zorganizują?

— A czy trochę tak nie jest — odpowiada po namyśle pan Tomaszewski i ciągnie dalej. — W moim klubie KS „Wyścig" przeszedłem wszystkie dyscypliny sportowe związane z piłką. Najpierw nożną, potem koszykówkę, ale najdłużej zatrzymał mnie tenis. Po raz pierwszy widziałem grę w tenisa na stadionie dzisiejszej „Legii". Akurat trenowali mistrzowie. Podobała mi się cisza, jaka towarzyszyła ich grze. Chociaż to był tylko trening, zawodnicy byli skupieni, jak gdyby rozszyfrowywali się nawzajem. Wszystkie wakacje, aż do wybuchu wojny, spędzałem jeżdżąc z turnieju tenisowego na turniej.

— Jako mistrz?

— Oczywiście, tylko wśród juniorów. W tym czasie również zawarłem wiele znajomości ze sławnymi sportowcami, np. z Januszem Kusocińskim.

Wybuchła wojna. Po wojnie dalej grałem w tenisa, utrzymując się nawet w pierwszej dziesiątce... Właśnie Skonecki obejmował „tron"...

— Już wówczas był pan, zdaje się, dziennikarzem?

— Pracowałem w „Kurierze Szczecińskim" i ciągle marzyłem o mikrofonie. Wreszcie ówczesny kierownik redakcji sportowej Polskiego Radia, obecnie redaktor naczelny pisma „Boks", ściągnął mnie do Warszawy, abym prowadził transmisję meczu Polska — Anglia.

— To był tenis?

— Tak. Na stadionie „Legii" panowała tak dobrze mi znana cisza i skupienie. Mikrofon, do którego miałem mówić, znajdował się na tarasiku, tuż pod brytyjską flagą. A ja byłem speszony... Wydawało mi się, że moje słowa, padające w tej wielkiej ciszy, przerywanej tylko uderzeniami rakietek, przeszkadzają tenisistom. To uczucie nie trwało jednak zbyt długo. Zadanie wypełniłem podobno nieźle i ostatecznie przekonałem się, że to jest praca, o jakiej marzę. Ale jeśli chodzi o spełnienie tych marzeń... Do Radia przeszedłem na stałe dopiero na przełomie lat 1955—1956.

— Zaraz potem był pan na Olimpiadzie jako sprawozdawca Polskiego Radia, prawda?

— Była to Olimpiada w Melbourne, w Australii. Podróż niezapomniana! Samolotem razem z całą ekipą olimpijczyków leciałem trzy dni i cztery noce ponad Europą, Azją, oceanami. Byłem na Filipinach, na zamieszkałej przez Papuasów wysepce Biak, małej, zagubionej na wielkim Pacyfiku. Spotykaliśmy po drodze tropikalne ulewy i potworny upał. Wiozący nas samolot otarł się nawet o skrzydło huraganu w czasie nocnego lotu nad Oceanem Spokojnym.

— O kangury, bumerangi już nawet nie pytam... Może więc następne olimpiady?

— W cztery lata po Melbourne, w roku 1966, były Igrzyska w Rzymie, po nich w 1964 roku w Tokio. Tę ostatnią Olimpiadę pamiętają już czytelnicy „Świata Młodych".

— Chyba tak. A poza tym mogą przeczytać pana książkę pt. „Rok olimpijski". Muszę się przyznać, że ja przeczytałam ją z wielkim zainteresowaniem...

W swoich książkach wspomina pan o różnych kłopotach z uzyskaniem połączenia radiowego z krajem.

— Sprawozdawca sportowy musi być przygotowany na różne niespodzianki. I w Rzymie i w Tokio nie obyło się bez przerwania urządzenia kablowego. A nieraz, kiedy transmisji nie prowadzi się wprost, lecz nagrywa na magnetofon, bywa, że i ten aparat zawodzi... Trzeba nagrywać od nowa, a tu akcja toczy się dalej... Niekiedy znów natrafiałem na trudności w precyzyjnym porozumieniu się z obcym technikiem radiowym. Np. Japończycy byli szalenie mili i grzeczni, ale bardzo powolni, a i dogadać się z nimi było trudno. Nie wszyscy znali języki europejskie.

Najbardziej przykre zdarzenie przeżyłem jednak na Olimpiadzie w Rzymie, mimo iż były to najpiękniejsze igrzyska sportowe, jakie widziałem, tak wspaniały był nastrój i serdeczna atmosfera. Tuż przed finałem biegu na 5 km, na którego transmisję tak bardzo się szykowałem, zerwało się połączenie z Polską. To był wspaniały bieg! Startował Kazimierz Zimny; zdobył wówczas brązowy medal. Stałem przed mikrofonem i milczałem. Byłem po prostu zrozpaczony! Nie mogłem nic poradzić! Jakaś koparka, gdzieś w połowie drogi między Włochami a Polską, zerwała kabel. Uszkodzenia nie udało się naprawić błyskawicznie. Nie mogłem wytrzymać, pobiegłem do kolegów z telewizji. Oni mieli połączenie. Słuchałem, jak nadają program i okropnie im zazdrościłem.

— A czy po tylu latach pracy odczuwa pan czasem tremę?

— To nieodłączny towarzysz, ale i uczucie do pokonania! Koncentruję się i niemal po chwili nie ma już we mnie żadnej innej myśli poza tą, aby jak najpełniej przekazać odbywające się właśnie sportowe widowisko. Pamiętam, że moje słowa, rzucane w mikrofon, muszą przekazać słuchaczom w Polsce i nastrój boiska czy stadionu, i dać możliwie najobszerniejszą informację.

Lubię sport! To również pomaga mi w pracy. A poza tym staram się mówić o wielu różnych dyscyplinach, co ratuje przed rutyną i pomaga wzbogacić język.

— Jakie dyscypliny lubi pan najbardziej?

— Na pierwszym miejscu stawiam lekką atletykę, po niej tenis i piłkę nożną. Potem idzie automobilizm, jeździectwo i narciarstwo.

— A kolarze, a bokserzy? — Pan Tomaszewski uśmiecha się.

— Ja poprostu lubię sport!

— I lubi pan ludzi sportu... Jest pan wobec nich zawsze życzliwie nastawiony.

Staram się o to. Jestem życzliwy wobec każdego sportowca, uważam, że można ich krytykować tylko wtedy, gdy się źle przygotowali, lub gdy się źle, niesportowo zachowują. Ale nie wtedy, gdy, dając z siebie wszystko — przegrywają, bo natrafili na lepszego przeciwnika...

— O czym powinni wiedzieć ci, którym się marzy praca sprawozdawcy?

— Niech wyciągają wnioski z tego, co powiedziałem o mojej drodze do mikrofonu. Prowadziła przez sport.

Prawie tak samo ważną sprawą jak znajomość sportu, jest, moim zdaniem, czytanie dobrych książek. Sądzę, że to nawet jest ważniejsze niż czytanie prasy sportowej. Pozwala zetknąć się z całym bogactwem naszego języka. A przecież my, sprawozdawcy, mamy za cały arsenał środków właśnie język.

Dziękując za wywiad panu Tomaszewskiemu, życzymy mu w Waszym i naszym imieniu pięknych sprawozdań sportowych z Olimpiady w Meksyku. To już nie tak długo!

Rozmawiała
ANNA GRZYBOWIECKA

Tym razem nie przed mikrofonem Polskiego Radia lecz... w sali wykładowej, Red. Bohdan Tomaszewski prowadzi wykłady dla przyszłych dziennikarzy, słuchaczy Studium Dziennikarskiego w Warszawie.

Świat Młodych

GAZETA HARCERSKA — ukazuje się we wtorki i piątki. Redaguje zespół. Red. nacz. JANUSZ DOMAGALIK, tel. 21-15-61. Sekretarz redakcji — 27-77-21. Wydawnictwo „PRASA MŁODZIEŻOWA" RSW „Prasa", Warszawa, ul. Bagatela 14. Druk Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa". Warszawa, ul. Marszałkowska 3/5. Prenumerata miesięczna zł 4.00, kwartalna 12.00. Wpłaty przyjmują urzędy pocztowe i listonosze wiejscy do dnia 15 każdego miesiąca. Wpłat dokonywać również można na konto PKO Nr I-6-100020 — Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw „Ruch", Warszawa, ul. Wronia 23 do dnia 10 miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty.
Zam. 1644. T-50

Adres redakcji
WARSZAWA
ul. Mokotowska 24

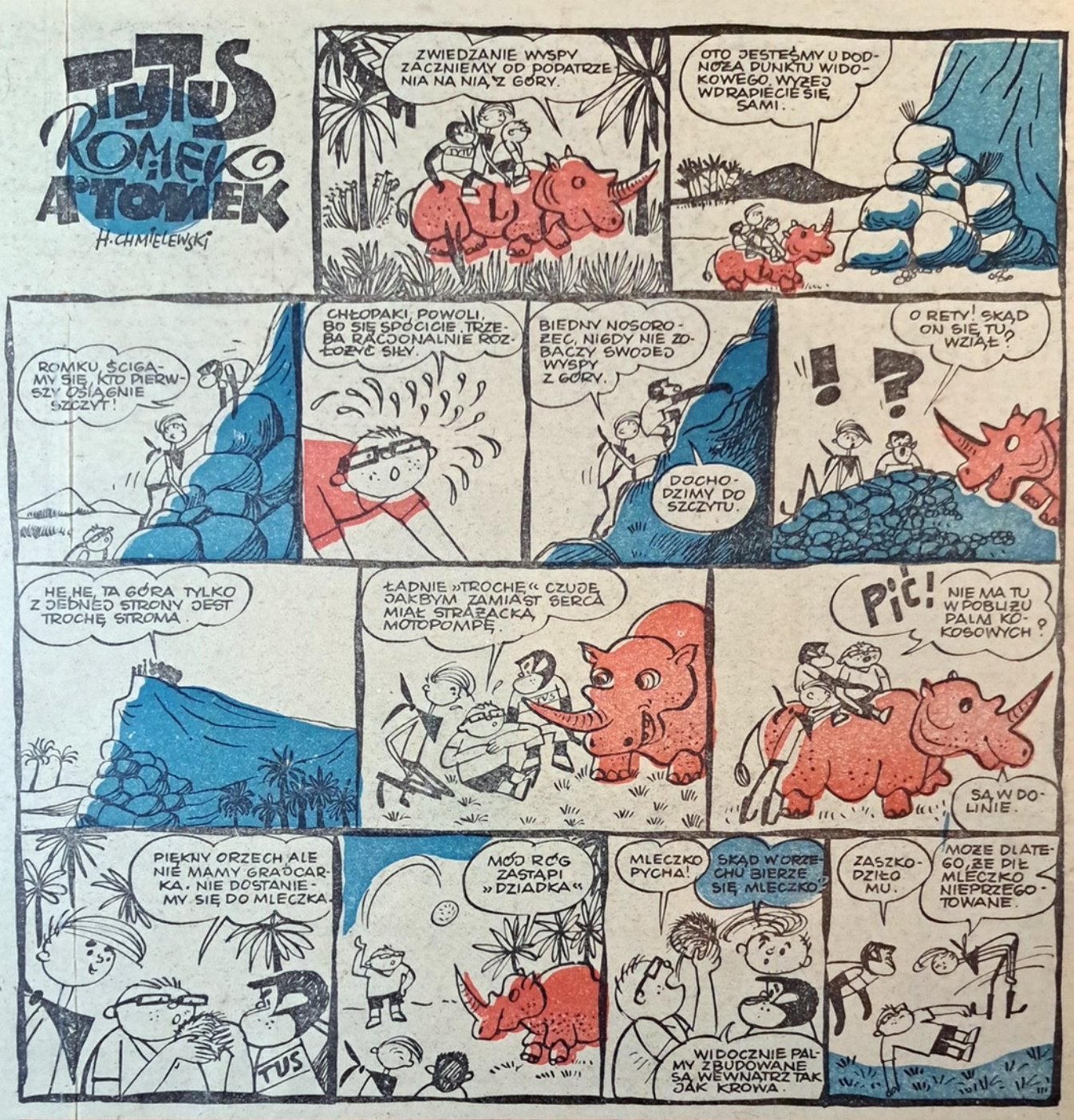

PAMIĘĆ U ZWIERZĄT

● Radziecki fizjolog, Iwan Beritaszwili, uważa, że pamięć mają wszystkie kręgowce. Naukowiec doszedł do takiego wniosku, badając zjawisko pamięci wśród przedstawicieli różnych gatunków kręgowców — od ryb do małp. Fizjolog jest przekonany, że ryby i zwierzęta zimnowodne są w stanie zapamiętać obrazy otaczającego świata przez kilka sekund, gady (jaszczurki i żółwie) — w ciągu kilku minut, ptaki — dwa—trzy dni. Natomiast takie ssaki, jak kot i pies, przechowują obrazy w pamięci w ciągu kilku miesięcy.

ASY POWIETRZA

● Najszybszy lot ptaka, jaki został dokładnie zarejestrowany, dochodził do 295 km/godz. Tym najszybszym wśród ptaków „lotnikiem" jest kalifornijski jastrząb - gołębiarz. Natomiast prędkość lotu kaczki zanotowana przez naukowców dochodzi do 95 km/godz.

REJESTRACJA WULKANÓW

● Na Kamczatce przeprowadzona została dokładna rejestracja wulkanów. Naliczono ich łącznie ponad 2000, w tym zarejestrowano 28 wulkanów czynnych. Drugim skupiskiem wulkanów na terytorium ZSRR są Wyspy Kurylskie.

CZY WIECIE, ŻE...

● Serce najmniejszego ptaka świata — kolibra — bije 20 razy szybciej, niż serce człowieka (tj. 1400 razy na minutę).

● Mrówka w proporcji do swoich rozmiarów ma największy mózg spośród wszystkich zwierząt.

KARIERA POLSKIEGO ROWERU

● W stosunkowo krótkim okresie, zaledwie kilkunastu lat, Polska wyrosła na jednego z największych na świecie eksporterów rowerów. Początki, które przypadają na rok 1960, były nader skromne. Sprzedano wówczas „dwóch kółek" zaledwie za około 100 tys. zł dewizowych. W zeszłym roku wpływy dewizowe wyniosły już prawie 12 milionów, a w pierwszym półroczu br. ponad 9 milionów.

Polskie rowery dobrze znane są w wielu krajach Europy, Ameryki i Afryki.

CMENTARZYSKO SŁONI

● Na południowym Cejlonie szczyt Adama, spowity stale szarymi chmurami, jest cmentarzyskiem słoni. Od niepamiętnych czasów do tego miejsca ciągną z całej wyspy słonie, gdy czują odrętwiającą senność zbliżającej się śmierci.